

JACEK CIEŚLAK

Stanisław Tym jak mało kto wpłynął na nasze poczucie humoru i widzenie Polski. A przecież wiele jego poglądów Polaków by zaskoczyło. A może nie?

TYM I JEGO KOLEĘDA Z „MISIA”

Wiele po śmierci Stanisława Tyma (6 grudnia) napisano, ale chyba jednak nie wszystko. Z pewną dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że było dwóch Stanisławów Tymów. Jeden bawiący nas skeczami, żartami, felietonami oraz komediami. I drugi – sceptyk, a wręcz pesymista, jeśli chodzi o naturę człowieka oraz polityki. To się zresztą nie wyklucza, a wręcz łączy i stanowi kanon wśród komediopisarzy: śmieją się z nas i z siebie, bo nie mają innego wyjścia.

Kim więc był Stanisław Tym poza tym wszystkim, co sobie wyobrażamy, z czego też się śmiał, choć o tym potem.

W zbiorze „Mamuta tu mam” z podtytułem „Utwory zebrane spod łóżka” (Biblioteka Latarnika, 2005) fragment otwierający tom, zatytułowany „Stanisław Tym Życio (Rys. z pamięci)” brzmi: „Urodziłem się przed wojną, która wybuchła, gdy miałem dwa lata. Wraz z całym narodem wziąłem zatem udział w tej wojnie, którą po sześciu latach wygrałem. Wtedy rozpocząłem, również z całym narodem, walkę o zwycięstwo socjalizmu. Po mniej więcej 50 latach walkę tę przegrałem – również wraz całym narodem. Mam więc w swoim życiu jedną dużą wygraną i jedną dużą przegraną. Reszta to przyczynkarstwo”.

W pewnym sensie najsłynniejszą wersją życiorysu Tym przedstawił w „Rejsie”, grając kaowca: „Znamy się mało... więc może ja bym powiedział parę słów o sobie – najpierw. Urodziłem się... urodziłem się w Małkini, w 1937 roku, w lipcu. Zaczy, w połowie lipca... właściwie w drugiej połowie lipca, właściwie... dokładnie 17 lipca. No... to tyle może o sobie – na początek... Czy są jakieś pytania?”.

W pierwszej wersji życiorysu można mówić o ironii i sarkazmie, kpiącym z rzekomej wspólnotowości doświadczeń, gdy przecież Tym był indywidualistą, a może wręcz samotnikiem, żyjącym we własnym świecie. Drugi życiorys, również będący kreacją, sugeruje niepewność co do podstawowych faktów oraz ich znaczenia.

Satyra na Solidarność

Miałem okazję wysłuchać życiorysu Stanisława Tyma w bardzo nietypowych okolicznościach przyrody. Otóż jak wiedzą wszyscy ci, którzy oglądali „Misia” i „Rozmowy kontrolowane” – Tym lubił przebieranki, a na pewno od nich nie stronił. W „Misiu” zaprezentował się m.in. jako węglarz Stanisław Paluch z fryzurą afro („Misiu, jakie ty masz piękne włosy”), którą później Paluch utracił pod wpływem działania szamponu „Samson”.

W „Rysiu”, który był satyrą nie tylko na stan wojenny i komunistów, lecz także na polską martyrologię i konspirację – jego bohater, czyli komuch, a może i esbek, grał członka Solidarności, który ukrywa się przed władzami m.in. w przebraniu kobiety. Rozmowę o tym zaproponowały Tymowi „Wysokie Obcasy”, nomen omen, kobiecy magazyn. Ja również wystąpiłem wtedy w przebraniu. Co prawda jako mężczyzna, ale pod nazwiskiem Tomasz Wierzbicki, żeby zrobić żart, a i przyjemność, mojemu serdecznemu przyjacielowi jeszcze z czasów przedszkolnych.

Właśnie wtedy w wywiadzie zatytułowanym „Uwielbiam być kobietą” Tym mówił: „Nie tylko uwielbiam być kobietą, ale także rozmieszać ludzi. Świat uważam za okropnie ponury, więc oswajam go, kpiąc, szydząc. Światu to nie przeszkadza, a mnie pomaga”.

Żartowaliśmy wtedy na temat formuły: „Kobieta, która mnie wybrała, żebym ją wybrał”, będącej współczesną formą frazki biskupa Ignacego Krasickiego o treści: „Mimo tak wielkiej płci naszej zalety / My rzą-

dzim światem, a nami kobiety”. Stanisław Tym skupił się jednak na swoim prawdziwym, serio przedstawionym życiorysie:

– Miałem się urodzić w sierpniu, dlatego mama w lipcu pojechała na wakacje nad Bug. Ale urodziłem się wcześniej i kiedy tata przyjechał, żeby zabrać mamę na poród do Warszawy, synek już czekał na tatusia. Tak, tak. Moje dzieciństwo przypadło na okupację i 63 dni powstania warszawskiego. A później byłem świadkiem wyzwania Polski przez Armię Czerwoną i 1. Armię Ludowego Wojska Polskiego. Wtedy również widziałem okropne rzeczy. Wszystko było nienormalne. Na szczęście trafili mi się bardzo porządni dziadkowie i rodzice. (...) Uważam życie za coś nadzwyczaj okrutnego. Aż dziw bierze, że coś takiego mogło powstać. Ale gdyby popatrzyć na wszechświat i jego konstrukcję, rzecz ma swoją logikę: cały kosmos się pożera, stare formy przechodzą w nowe. Tak samo jest z nami. Czyli nic specjalnego. Oczywiście, białko ma możliwość oceniania, pozyskiwania wiedzy, kształcenia się. Nadzwyczajne! Prawda? Jednak na tym tle okrucieństwo życia musi robić jeszcze większe wrażenie.

Potem, pośród wielu, mieliśmy kolejne spotkanie przy okazji szczecińskiej premiery sztuki Tyma „Gazeta spada zawsze papierem do góry” w Teatrze Polskim w Szczecinie. Po próbie generalnej rozmawialiśmy, co bardzo zagłuszyło jedzenie kurczaka zaserwowanego przez dyrektora Adama Opatowicza. Długo więc rozmawialiśmy, ale tylko trochę naszej rozmowy się nagrało, jednak teraz – dzięki technice XXI wieku – odtworzyłem rozmowę w całości.

Stanisław Tym mówił tak, odpowiadając na pytanie o to, dlaczego zawsze szuka „dziury w całym” i daleko mu do zachwytu na kolejnymi transformacjami naszej rzeczywistości:

– Miałem widocznie złych nauczycieli i jak się od nich nauczyłem – to już tak przez całe życie robię. Nie do mnie ta pretensja. Ci nauczyciele to Jerzy Dobrowolski, STS, paru profesorów ze szkoły teatralnej z Kazimierzem Rudzkim na czele. To są główni winni. Dalej: Zdzisław Gozdawa i Waław Stępień, a do tego jeszcze Antoni Słonimski, z którym bardzo dużo czasu spędziłem na różnego rodzaju rozmowach. Proszę do nich iść z tymi pretensjami, a nie do mnie.

Stanisław Tym miał dużo sceptycyzmu wobec zmiany Polaków po transformacji systemowej.

– Powiem panu tak: byłem oszołomiony tym, że możemy się wy dostać spod opieki Związku Radzieckiego i nastąpi coś, czego sobie nikt poza Jerzym Giedroyciem na świecie nie wyobrażał. Dlatego dziś, kiedy tyle się mówi o różnych pomnikach, uważam, że w centrum Warszawy powinien przede wszystkim stanąć pomnik Giedroycia.

A kiedy nastał pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki miałem pisać żartobliwe, satyryczne kawałki dla „Gazety Wyborczej”. Ale już wcześniej postanowiłem, że chcę przejść do historii jako pierwszy autor, który napisał satyrę na Solidarność. Musimy wrócić do 1981 roku, kiedy powstała i odbył się koncert w Teatrze Wielkim, połączony ze zbiórką na pomnik pomordowanych stoczniovców w Gdańsku. Mam nawet pamiątkowy medal po tamtym występie, a wystąpiłem wtedy z pierwszą satyrą na Solidarność właśnie.

Nie ukrywam, że wywołałem zaskoczenie, duże zaskoczenie, pisząc numer specjalnie na tamten wieczór. To była scenka w sklepie rybnym. Klient prosi o pół ryby i patrząc na sprzedawcę, mówi: „jeżeli pan już kroi tę rybę brudną ręką, którą przed chwilą wycierał pan parapet na oknie; jeżeli kroi ją pan nie takim nożem, jak trzeba wyciąć, jeżeli pali pan papierosa przy tym, a popiół spada na tę rybę – to ja już do pana nie mam o to pretensji, tylko niech pan przynajmniej zdejmie ten fartuch, na którym ma pan znaczek Solidarność, fartuch brudny i zapaćkany”. Sprzedawca na to odpowiada: „Proszę pana, to nie jest mój fartuch, tylko kolegi, który

wczoraj normalnie rybę kroił, tylko dzisiaj leży na zapleczu pijany, zarzuty, to go zastąpiłem”.

Spytałem, jaka była reakcja na skecz w 1981 r.

– Zdumienie. A miałem na myśli jedynie to, że zmiana nazwy ustroju czy ulicy nie zmienia absolutnie ani jednego mieszkańca na tej ulicy. To jest właściwie cała odpowiedź, co tu będę dużo mówił. Kiedy napisałem więc satyrę na pierwszego niekomunistycznego premiera Tadeusza Mazowieckiego – nie pamiętam tego, kto to powiedział, ale pamiętam, co powiedział: „Nie, Staszek, słuchaj, my tego nie wydrukujemy. To jest po prostu nasz premier i my tego nie damy, bo nie możemy!”. Odpowiedziałem: „Błąd, ale nie będę się z wami kłócił. Szybko się jednak przekonacie, że trzeba publikować satyrę zwłaszcza na naszego premiera”.

Jakiś niewesoły we wnioski musiał być ten szczeciński wieczór, bo w chwilę potem przypominałem, że autorski program Tyma „Pies, czyli Kot” („Parę Interesujących Ewentualnie Spraw, czyli Komentarz Obywatela Tyma”) zajął z anteny ówczesny, solidarnościowy prezes TVP.

– Program zajął Marian Terlecki, porządny człowiek! – mówił Tym i trzeba było słyszeć, jak to mówi. – Ale przecież ja się z cenzurą dość ostro spotykałem w latach mojej młodości, od późnych lat 50. Kiedy zdjęto z anteny „Psa, czyli Kota”, było dużo listów protestacyjnych. To było przyjemne. A konkretnie było tak: z telewizyjną „Dwójką” umówiliśmy się na dziesięć programów. Pomyślałem, że zrobię dziesięć programów i zobaczymy, jak nam idzie. Jeżeli będą odbierane dobrze, jeżeli będą dobre recenzje – będziemy robić program dalej. Program był bardzo dobrze odbierany. Ale wtedy szef telewizji był w randze ministra. Przychodził na posiedzenie Rady Ministrów, a inni ministrowie mówili mu: „Ty, Maniek, co ten taki łysy tam opowiada? On z nas jaja sobie robi, za nasze pieniądze. Bo przecież jesteśmy podatnikami, oczywiście”.

I program „Pies, czyli Kot” z anteny zdjęto.

Tym o PRL

Niewesołe refleksje Tym miał na temat historii Polski:

– Mam następującą refleksję na temat Polaków. Trzeba jednak sięgnąć do początku zła, to znaczy do wolności szlacheckiej, bo nawyki wówczas wykształcone idą przez pokolenia. Doprowadziły do rozbiorów, czyli do gospodarczej i społecznej zapaści państwa. Do romantyzmu, czyli ogłupienia ideologicznego, które zostało podchwyczone, a jeszcze dolano do tego oliwy religijnej. Potem była wojna, więc znowu wszystko ożyło. Te wszystkie hufce, szereg i tak dalej. Później mieliśmy okupację i powstanie warszawskie. To były rzeczy okropne, a potem czwarty rozbiór, właściwie najbardziej krwawy, jaki się nam zdarzył, czyli zniszczenie inteligencji.

Inteligencja albo musiała się dać zabić, spauperyzować, albo wyjechać na Zachód. Delikatnie mówiąc: w większości skurwić. Zapisanie się do partii miało jednak wpływ na sprawy rodzinne, towarzyskie i tradycję. To nie było tak, że wojna się skończyła i wszystko jest w porządku. Nie! Po wojnie świat się zmieniał tak strasznie, że już nie wraca do normy. Świat wyszedł z orbit. Użycie bomby atomowej w Hiroszimie i Nagasaki to nie było tylko zbombardowanie Hiroszimy i Nagasaki. Wszystko – ludzkość i cały świat zostały zbombardowane i już się tego nie cofnie.

Przypuszczam, że człowiek jako gatunek jednak poszedł złą drogą w rozwoju. Ale może nie mógł inaczej, bo miał perspektywę kuszącą, żeby dowiadywać się, co się kryje w świecie, jakie są jego możliwości i co z tego można mieć.



Stanisław Tym (1937–2024). Scenarzysta (m.in. „Miś”, „Rozmowy kontrolowane”, „Brunet wieczorową porą”), reżyser („Ryś”), komediopisarz („Rozmowy przy wycinaniu lasu”), autor skeczy („Ucz się, Jasiu”), aktor, felietonista m.in. „Plusa Minusa”

Gdyby człowiek był mądry i rozumiał, co mędrcy napisali w Biblii – może by to wszystko jakoś inaczej się potoczyło? A może nie? Ani wynalazki, ani industrializacja i postęp – nie przeczę: przedłużono ludzkie życie, jeśli chodzi o jakość intelektualną i moralną, człowieka nic a nic nie polepszyły, uszlachetniły. Tak, Anton Czechow miał rację. Możemy tylko pracować. Trzeba pracować, pracować, pracować!

Świat postrzegał jako bezwzględny. Mówił:

– Mieszkam od wielu lat w małej wiosce nad Wigrami. Życie na wsi jest bardziej okrutne niż w mieście. Trzeba zamordować, żeby zjeść. Ludzie specjalnie nie roztkliwiają się nad sobą. Kiedy stracą palec albo rękę, kiedy kogoś drzewo przygniotło albo ktoś utonął – mówi się trudno. To jest taki świat. Siedzę w domu, jest noc, okno, lampa zapalona, piszę i nagle 300 metrów ode mnie w polu straszny, rozpaczliwy krzyk. Złapały lisy zającą. Trwa rzeź, on kona, ja słyszę. Łąka rośnie i jest piękna. Ale ja wiem, jaka trwa zażarta walka roślin o przetrwanie, kawałek miejsca, wodę, dostęp do słońca.

Tym komediopisarz

Stanisław Tym wybrał formę komedii i farsy, żeby jak najlepiej pokazać formę ludzkiego kłamstwa, hipokryzji, udawania, maski, śmieszność.

– Mnie się wydaje, że tak naprawdę sami ludzie nie wiedzą, kim są naprawdę. Podejrzewam, że ktoś, kto siedzi ze mną w pociągu, wierzy, że wie coś o mnie. Bardzo śmieszne. Albo straszne. Przecież nagle w Wiedniu odkrywają faceta, który trzyma córkę w lochu i gwałci. A co się dzieje w klasztorach, w wojsku, w rodzinach? W redakcjach? Wszędzie! Ciekawe to jest bardzo. Nie wiem, co to znaczy, ale tak się zdarzyło, że

zawsze zajmowałem się komedią. Wydaje mi się, że najwięcej można właśnie w komedii powiedzieć. Poza tym komedia ma jedną wartość, na którą zwrócił mi uwagę Antoni Słonimski. A powiedział też, że dla niego to wartość podstawowa. Chodzi o to, że komedia ma recenzję natychmiast. Więcej: on był bardzo na taką formę recenzji, jaką jest śmiech widowni, wyczulony i stosował się do tych recenzji.

Antoni Słonimski opowiadał mi o tym, jak w angielskim PEN Clubie jako szef polskiego oddziału został zaproszony na uroczystość uczczenia któregoś z brytyjskich pisarzy. Anglicy wszystko mają dokładnie przemyślane. Wiadomo było, że przemówienie nie może trwać dłużej niż 3 minuty. Musi być powiedziane dobrą angielszczyzną. Musi być w paru momentach dowcipne. A w dwóch przynajmniej tak zabawne, że się wszyscy zaśmieją. Tak po prostu wypada.

Ponieważ Słonimski był anglofilem, do zadania się przyłożył. Nauczył się przemówienia na pamięć. I... wypowiedział je w kompletnej ciszy. Po takiej recenzji od razu wiedział, że musi z Anglii wyjechać, bo nie ma powodu, żeby zostawać tam dłużej.

Przypomniałem sobie spostrzeżenie Antoniego Słonimskiego, kiedy robiłem sztukę dla Teatru Telewizji – „Rozmowy przy wycinaniu lasu”. W czasie prapremiery siedziałem na zapleczu Teatru Kwadrat, gdzie dźwięk z widowni dochodził przez głośnik. Słyszałem, że się ludzie śmieją. Komedie cenię jako gatunek, ponieważ nie ma w niej żadnego oszustwa. Nie da się nikogo nabrać. Komedie musi być śmieszna. Musi być! Bo jak nie jest – to po prostu nie umiesz pisać. I koniec. I do widzenia. Ja się komediowego fachu uczę całe życie.

Komedie była też remedium na traumy wyniesione z dzieciństwa w czasie wojny.

– Wszyscyśmy wiedzieli, co się dzieje: że ktoś wyszedł z domu i nie wrócił. Matka odwracała mi głowę, żebym nie patrzył, ale i tak widziałem rzekę krwi płynącą do

rynsztoka. Nie pytałem, dlaczego jest wojna, bo już wtedy wiedziałem, że takie pytanie nie ma sensu. A kiedy w 1946 roku zacząłem chodzić do piątej klasy w szkole na warszawskim Powiślu, po lekcjach biegaliśmy na zburzoną Starówkę, żeby bawić się w wojnę. Ganiałymi po gruzach, wspinaliśmy się na kikuty wypalonych domów... Cud, że nikt z nas się nie zabił.

Powstania warszawskiego nie chciał oceniać:

– Miałem osiem lat. Mieszkaliśmy na Kruczej róg Wspólnej. Ta część Śródmieścia była w miarę bezpieczna, została spalona dopiero po powstaniu. O tym, co się działo na Starówce, dowiadaliśmy się od ludzi wychodzących z kanałów. Pamiętam lazaret w bramie, gdzie umierali młodziutcy żołnierze... Codzienne życie powstańczej Warszawy najdotkliwiej opisał Miron Białoszewski. To była moja rodzina. (...) Ganiłi po Warszawie jako łącznicy albo żołnierze. Wuj Henryka uratował grzebień w kieszonce, po którym omsknęła się kula. Każdego coś ratowało! A to ryngraf, a to papierosnica. Najwięcej pytałem mojego stryja Tadeusza, który był jednym z pierwszych więźniów Auschwitz, ale nie chciał o tym mówić. Dziadek Franciszek Tym sprzedał wszystko, co miał, żeby syna wykupić. Tylko raz, już w czasach telewizji, stryj oburzył się, gdy ktoś mówił o obozie: „Co za dureń! Czy on wie, o czym mówi?!”. Wziął kartkę i narysował plan: baraki, siedzibę gestapo, miejsce, gdzie palili ludzi. Wpadła mama, kartkę zabrała. Skończyła się rozmowa.

Tym wegetarianin

Ida święta. Stoły znowu będą się uginały. Sporo jedzenia zmarnuje się i trafi do śmietnika, wielu zaś zaskoczy może fakt, że Stanisław Tym był wegetarianinem. To była jego reakcja na rzeź odbywającą się w świecie przyrody. O rybach, przysmakach nie tylko wigilijnych, mówił per „sąsiadki z jeziora” długo, zanim stało się to zwyczajem feministek. I nigdy nie kładł ryb na talerz, co dopiero na patelnię.

– Nie zabijam stworzeń. W domu są zabronione lepy, trutki i pułapki na myszy – mówił.

Jerzy Paciorkowski, były sekretarz redakcji „Rzeczpospolitej”, który zajmował się publikacjami Stanisława Tyma m.in. w „Plusie Minusie”, podkreślał, że Staszek nawet muchy by nie skrzywdził. Dosłownie: niedające mu latem spokoju muchy łapał do foliowego worka, a potem wywoził kilka kilometrów od domu i wypuszczał na wolność w lesie.

To będzie pierwsza Wigilia bez Stanisława Tyma, dlatego warto przypomnieć jego kolędę z finału „Misia”, śpiewaną przez Ewę Bem:

*Lulejże mi, lulej,
we wszechświecie całym
Tyś jest moim królem,
mój Syneczku mały.*

*Ciebie ja otulę,
Ciebie ja nakarmię,
nim świąteczna nocka
cały świat ogarnie.*

*Nie płacz mi na przyszłe dni,
gdy Cię spotka krzywda, bieda.
Śpij mi, śpij, lulej mi, ukołysać się daj.*

*Uśnijże mi, Dziecią,
już oczkami swemi
śnij o całym świecie,
śnij Ty o tej ziemi.*

*By to była
ziemia spokojna i dobra,
ziemia sprawiedliwa,
wszystkim ludziom szczodra.*

*Luli la, pięknie gra
fujareczka, fujareczka,
tysiąc gwiazd świeci tak
dla mego Syneczka.*

*Lulejże mi, lulej,
we wszechświecie całym
Tyś jest moim królem,
mój Syneczku mały.*

Spoczywaj, Staszku, w spokoju.